Wydawnictwa rok I
Dnia 29 października 1933 r.

№ 2

CZERWONA RÓŻA

Tygodnik

Wstydliwe Słowo

Czy Sławek ma rację?

Krzyczcie, Słowianie!

Masonerja praktyczna — Rotary Cluby

Dziewczęta na bruku

Z kurzem krwi bratniej...

Uwagi i refleksje:

Czy pierwsze jaskółki nawrócenia?
„Kurjer Warszawski“ i masonerja.
Jak się zyskuje przyjaciół.
P. Senator Boguszewski a § 109 K. K.
Orędzie Metropolity Djonizego.
Rappaport i Popescu.

Ze Świata:

Święto Republiki Czechosłowackiej.
Wieści o Serbach - Łużyckich.
Kultura muzyczna w Sowietach.
Zdobycze nauki sowieckiej.

Teatr: Świat złudzeń Anatola Sterna.
Film: Dzieje grzechu. Dwanaście krzeseł.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena egzemplarza 25 gr.

WSTYDLIWE SŁOWO

Gdy się u nas mówi o Narodzie a zwłaszcza o jego idei, nacjonaliźmie, wówczas zarysowują się w społeczeństwie dwa zasadnicze i pozornie sprzecznie stanowiska.

Ci mianowicie, którzy według słów własnych poświęcili wszystko na ołtarzu narodowej sprawy i wbrew powszechnemu rozsądkowi walczyli bagnetem o Niepodległość Narodu, wymazali w niepodległej już Polsce z politycznego słownika słowo Naród. Ta kategorja ludzi, to oficjalna grupa legjonistów, a mówiąc bardziej ogólnie — stronnictwo rządowe.

Jako urzędowa wiara skonstruowaną została t. zw. ideologja państwowa. To jest obowiązująca dzisiaj oficjalnie doktryna.

Z drugiej zaś strony Narodowa Demokracja, z podziwu godną wytrwałością trzymająca sztandar idei narodowej, nie mogła się zdobyć na tyle objektywizmu, aby uznać istnienie narodowych pobudek działania u ludzi, stojących poza oficjalnemi szeregami stronnictwa.

Podział więc na „narodową" i „państwową" część społeczeństwa został dokonany. Po tej stronie barykady, gdzie króluje Blok Bezpartyjny, słowo „Naród" zostało uznane za wstydliwe i nieprawomyślne, a przyznanie się do niego może spowodować zabójczy zarzut „endeckości".

Niewątpliwie, nie wszyscy się pogodzili z tym stanem rzeczy. Ogłoszenie oficjalnego dogmatu nie mogło przeszkodzić temu, ażeby w głębi ducha cały szereg nowokreowanych „państwowców" wyznawał po dawnemu starą, potępioną wiarę. Dla wielu legjonistów z autentycznych pierwszych trzech brygad słowo Naród po dawnemu symbolizuje uczuciowo najwyższe dobro zbiorowe. Dla wielu jest romantyczną syntezą minionych bojów i cierpień, z reguły zaś prawie wywołuje silne i atrakcyjne emocje. Stąd ten rozdźwięk pomiędzy programami i hasłami a rzeczywistością i historyczną prawdą.

Przyszły historyk dziejów myśli politycznej w Polsce będzie miał wdzięczne zadanie wykrycia przyczyn tej jedynej w swoim rodzaju schizmy. Ale i dzisiaj już można wskazać dwa jej zasadnicze źródła.

Jednem z nich jest niewątpliwie doraźna walka polityczna. Obóz przewrotu majowego, zdobywając i utrwalając swe wpływy we wszystkich komórkach machiny państwowej, na odcinku ideowym zaczął stopniowo ustępować pola przeciwnikowi, a zasugerowany agitacją Narodowej Demokracji, uznał milcząco jej zwycięstwo i z Narodu zrezygnował. Czując potrzebę odgrodzenia się za wszelką cenę od „endeków", zaczął szukać własnej doktryny i, jak mniemał, znalazł ją, powoławszy do życia szkołę państwowo-twórczej filozofji. Jego ideowi teoretycy niezauważyli tylko przytem, że chcąc, wedle słów własnych, „oczyścić życie polskie od endeckiego brudu" — w ferworze walki wylali z balji wraz z brudną wodą również i — dziecko. Tem dzieckiem był Naród. Jak się okazało, najbardziej namiętne oskarżenia Narodowej Demokracji o przywłaszczenie sobie monopolu na Boga, Ojczyznę i Naród nie potrafiły przeszkodzić temu, że się ten monopol jednak po części uznało.

Drugiem źródłem roźdźwięku była treść narodowo-demokratycznej doktryny. Nie wdając się w dłuższe analizy stwierdzić możemy, że nacjonalizm Narodowej Demokracji uosabia w dość powszechnem rozumieniu ekskluzywny rasizm i reakcję społeczną. Słusznie czy niesłusznie stał się zatem dla mas wskaźnikiem burżuazyjno-sobkowskiej mentalności. Do Narodowej Demokracji nie szedł inteligent-romantyk, bo go raziło kopjowanie obcych wzorów i poziomy materjalizm tego stronnictwa. Nie szedł tam robotnik, bo widział w niem reprezentację wrogich sobie interesów klasowych. Nie szedł człowiek o rozległych horyzontach myślowych, bo go zniechęcała panująca tam zaściankowa atmosfera oraz drobno-sklepikarskie ujmowanie zagadnień społeczno-gospodarczych. Wszystkie te przyczyny razem wzięte sprawiły, że życie polskie cechuje niespotykany bodaj nigdzie chaos i pomieszanie pojęć, a pasjonujące zagadnienie „Naród czy Państwo?" nic a nic nie straciło dotąd na swej ostrości.

Wobec tak głębokich rozdźwięków ideowych narzuca się konieczność przemyślenia zasad idei narodowej od podstaw. Przedewszystkiem zaś rozważenie zagadnienia, czy Naród ma byt rzeczywisty, t. zn. czy jest to pojęcie, obrazujące taką wartość, która istnieje naprawdę, a nietylko w świecie idei. Nie można bowiem operować pojęciem nacjonalizmu tak długo, jak długo istnienie Narodu nie zostanie udowodnione.

Cała suma doświadczeń i obserwacyj upoważnia do twierdzenia, że *Naród jest rzeczywistością.* Jest rzeczywistością taką samą, jak wszystkie inne ludzkie zbiorowiska: państwo lub społeczeństwo, jakkolwiek o najzupełniej innej istocie. Że tak jest, a nie inaczej, dowodzi tego choćby ta okoliczność, że w zbiorowem życiu ludzi dojrzeć można takie zjawiska, które, nie mieszcząc się w naukowo zdefinjowanych pojęciach poszczególnych zbiorowisk, jak państwo, społeczeństwo lub ludność, wykazują cechy, zasadniczo sprzeczne z najistotniejszemi cechami organicznemi wspomnianych zbiorowisk. Istnieje bowiem taka psychiczna więź gromadna, która łączy ludzi poprzez granice państw, spaja wbrew niezaprzeczalnym antagonizmom klas społecznych, zespala mimo różnic językowych, religijnych, ba, nawet rasowych.

Jest ona tak realna, jak samo życie. Cementuje ludzką masę. Każe zdobywać własną formę państwową, chociażby poprzedni stan publiczno-prawny zapewniał pełnię politycznych i cywilnych praw i maksimum materjalnego użycia. Niweluje wszelkie różnice w obliczu najwyższego i najbliższego zarazem dobra.

Tą więzią jest narodowa świadomość odrębności.

Jest to czynna energja istoty Narodu. Ona to legitymuje *istnienie samego Narodu.* Ona jest tą prawdą, na której opiera się niespożyta moc i potęga idei narodowej.

Nie chodzi zatem o demagogiczną żonglerkę pustym frazesem lub o asymilację zagranicznych wzorów, ale o ideę, opartą na realnej prawdzie, własnym poznanej wysiłkiem.

Dlatego właśnie stronnictwo rządowe, zapoznając ideę narodową, minęło się z polską rzeczywistością. Nie zrozumiało, że jeśli Naród posiadł własną państwowość, chociażby zasługą tylko nielicznej garści bojowników, natenczas Państwo musi się stać akumulatorem energji całego Narodu. Jego Duch stać się winien wyłącznym pionem, wspierającym państwowy organizm.

I dlatego błędne jest oficjalne twierdzenie, że w Polsce niema miejsca na sprawę polską dlatego, iż została ona faktem niepodległości definitywnie przesądzoną. Rzeczywistość nasuwa na każdym kroku jaknajdalej idące zastrzeżenia. Bodaj, że ostatnia to chwila na wyłożenie sprawy polskiej na stół. I najwyższy już czas bodaj, aby została zlikwidowana fikcja rzekomej przeciwstawności pojęć „Naród i Państwo". Aby zostało raz na zawsze wyraźnie stwierdzone, że w Państwie Polskiem gospodarzem jest Naród Polski. Aby materjalna moc i potęga Państwa służyły całemi swemi zasobami swobodnemu rozwojowi duszy Narodu. I aby zatriumfowało wreszcie nad kłębowisikem złudnych haseł i dętych teorji zapoznawane i trzymane pod korcem, a mimo to wiecznie żywe i młode „wstydliwe słowo".

WIT GROT

WSZYSTKICH NASZYCH CZYTELNIKÓW I PRENUMERATORÓW PROSIMY O NADSYŁANIE ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM MOGLIBYŚMY PRZESŁAĆ OKAZOWE NUMERY NASZEGO PISMA.

CZY SŁAWEK MA RACJĘ?

Od czasu pamiętnej mowy płk. Sławka pod Krzyżem Traugutta niema w Polsce bardziej popularnego zwrotu od słowa „elita". Nietylko zaangażowane politycznie górne warstwy społeczeństwa wprowadziły go do swoich rozważań, lecz po raz pierwszy w dziejach Polski zbłądziło ono dosłownie „pod strzechy".

Należy stwierdzić lojalnie, że nie jest ono żadną rewelacją w ustach płk. Sławka. Już na zjeździe legjonistów w Radomiu w 1930 r. padło ono uroczyście ex cathedra, łącznie z hasłem „równania ku górze". Nie wywołało jednak wówczas ani setnej części tego rezonansu, co obecnie. Nie stało się tematem rozważań ani szofera taksówki, ani działacza spółdzielni rolniczej. Nie wywołało lawiny namiętnych oskarżeń ani setek artykułów. Nie stało się skrzydlatem słówkiem djalogów scenicznych w przybytkach lekkiej muzy.

Byłoby błędem sądzić, że obecny swój rozgłos pojęcie elity zawdzięcza temu, że zostało ono znacznie bliżej i konkretniej sformułowane. Różnica skali rezonansu zdaje się polegać na tem, że w radomskiej swej mowie płk. Sławek użył słowa „elita" w znaczeniu niewątpliwie innem. Punktem wyjścia ówczesnych rozważań było stwierdzenie faktu bezwzględnej równości obywateli wobec państwa. Płk. Sławek stwierdził wówczas wyraźnie, że „odrodzone Państwo zaczyna swoje życie i szuka form oparcia się o świadomą i współdziałającą wolę wszystkich obywateli". „Wszelki postęp i rozwój były jednak zawsze wynikiem twórczych pomyśleń i pracy obywateli, wyrastających swemi wartościami ponad własne otoczenie czy ponad Naród cały. One dzięki swej pracy twórczej stawały się elitą społeczeństwa. Równość praw obywatelskich stanowi dziś podstawę wyjściową dla wszystkich równą. Lecz na skutek warunków przeszłości nie wszyscy mają równe poczucie odpowiedzialności za Państwo. Trzeba ich pobudzić. Poprzez elitę ludzi umysłu i elitę ludzi charakteru, których jest wielu we wszystkich warstwach Narodu, trzeba dotrzeć do instynktu całego społeczeństwa, trzeba podjąć walkę z tem, co rozwój twórczych sił hamuje".

Trudno nie przyznać, że w powyższych sformułowaniach płk. Sławek zawarł prawdę, pod którą mogą się śmiało podpisać zarówno przyjaciele, jak i uczciwi adwersarze. Trudno jest oponować przeciwko twierdzeniu, że postęp ludzkości jest realizowany przez wybitne jednostki, noszące w swem sercu iskrę Bożą talentu, woli i rozumu. Trudno nie przyklasnąć zamiarom uaktywnienia elity społeczeństwa, znajdującej się „we wszystkich warstwach Narodu". Nie sposób się oprzeć uczuciu szacunku i uznania, gdy szef rządzącej grupy, mającej w swem ręku ster rządów i pełnię władzy, stwierdza uroczyście zasadę równości wszystkich obywateli.

Tegoroczną enuncjację płk. Sławka spotkał los całkowicie inny, a miarą istnienia krytycznych nastrojów mogą służyć głosy nawet prorządowej prasy, przestrzegające przed niebezpieczeństwem podziału społeczeństwa na uprzywilejowaną i upośledzoną grupę.

W powodzi krytycznych notatek i artykułów, które wywołał omawiany projekt, jest zarazem jeden szczegół niezmiernie charakterystyczny. Oto namiętnemu koncentrycznemu atakowi uległa proponowana *metoda* powoływania elity, lecz nie sama teza o jej kierowniczej roli w życiu Narodu i Państwa. Jest to szczegół zbyt charakterystyczny, ażeby go można było wytłumaczyć prostym zbiegiem okoliczności. Raczej można zaryzykować twierdzenie, że tłumaczy się on podświadomem wyczuciem prawdy znacznie bardziej głębokiej i ogólnej, że *każdem państwem*, niezależnie od warunków czasu i przestrzeni, rządzi zawsze i wszędzie elita.

Popularna zasada, głosząca, że „historja się powtarza", okazuje się słuszną nietylko w stosunku do pragmatycznej strony dziejów, lecz przedewszystkiem w odniesieniu do ich strony „technicznej", Analogje pomiędzy państwami, nawet pozornie najbardziej odległemi od siebie, są w gruncie rzeczy większe, niżby to można było na pierwszy rzut oka przypuszczać. I to nietylko dlatego, że Państwo wkracza na widownię dziejów reprezentowane przedewszystkiem przez armję — widomy znak i symbol istnienia państwa nazewnątrz. I nietylko dlatego, że i tu i tam istnieje zawsze aparat przymusu wewnętrznego w postaci policji, niezależnie od tego, czy jej szef nosi miano Prefekta Pretorji czy Naczelnika Wydziału Bezpieczeństwa. Najistotniejsza analogja polega przedewszystkiem na tem, że w każdem państwie istnieje nieliczna warstwa rządzącej elity, trzymająca zazdrośnie straż przy centralnej tarczy rozdzielczej i znająca sekret funkcjonowania wielkiej i skomplikowanej machiny, zwanej Państwem.

Różnica pomiędzy despotyczną monarchją Cyrusa czy Ramzesa XV, a współczesną ultra-demokratyczną Rzplitą Francuską polega z tego punktu widzenia nietyle na technice rządzenia, ile na sposobie *kompletowania* elity. To jest niewątpliwie różnica najbardziej istotna. Elita rządząca inaczej się uzupełniała w epoce Fenicji i Babilonu, inaczej w monarchji Mikołaja II, a inaczej we współczesnej Anglji lub Ameryce. Innego rodzaju kryterja były stosowane do kandydata na członka elity przed Rewolucją Francuską, a inne zaś po niej. Inne są szanse dojścia do władzy prostego człowieka z ludu obecnie, a inne były w epoce panowania przesądów kastowych.

Mówiąc obrazowo, siła i moc współczesnego demokratycznego państwa polega nie na tem, że w jego najważniejszych sprawach może decydować obywatel fryzjer lub przekupka warzywa, lecz na tem, że jego struktura przewiduje istnienie racjonalnie zorganizowanego aparatu „filtracji elit". Od stałego i nieskrępowanego dopływu świeżych soków żywotnych do górnej warstwy rządzącej zależy nietylko energja kinetyczna państwa i rozkwit jego twórczości, lecz i trwałość rządów samej elity. Elita, która zamknie się w kastowości i dopuści do zamulenia filtrów, podpisze sama na siebie wyrok śmierci. Żywotne soki Narodu, napotykając na drodze swojej ekspansji nie filtry oczyszczające, lecz tamę bagnistą, wytworzą gdzieindziej ognisko koncentracji, a „napór intelektualny" tej prawdziwej elity będzie tak silny, że nie wytrzyma go nigdy na dalszą metę zbiurokratyzowana i zwyrodniała pseudo-elita rządząca. Przykłady Francji Napoleona III, Rosji Mikołaja II i Hiszpanji Alfonsa XIII stanowią pod tym względem groźne i odstraszające memento.

W świetle powyższych rozważań zrozumiałe się stają zastrzeżenia i obawy, wywołane warszawską mową płk. Sławka. W jego przemówieniu bowiem nietylko uległa zasadniczej zmianie „radomska" koncepcja elity, nietylko kryterjum Teraźniejszości zostało zastąpione przez kryterjum Przeszłości, lecz co najważniejsze, — nie został naszkicowany nawet w zarysie system, dający możność młodym i twórczym elementom Narodu wybić się w drodze naturalnej eliminacji na czołowe i kierownicze stanowiska w Państwie.

Czyżby owocem ośmioletniego doświadczenia rządów starych społeczników miało być stworzenie systemu... zatkanych filtrów?....

wil.

KRZYCZCIE SŁOWIANIE...!

II.

Wielką Wojnę śmiało uważać można za pierwszą w dziejach Europy walkę o wolność ludów słowiańskich. Jest ona w dziejach Słowiańszczyzny tym punktem zwrotnym, od którego winna się rozpocząć nowa epoka tego odłamu rasy białej — jak dotychczas... pasierba historji. Od lat tysiąca wyzuwano bowiem narody słowiańskie z ziemi, wolności, prawa do własnej kultury i mowy, co tem łatwiej osiągano, że Słowianie, skłóceni ze sobą, chętnie wrogom swoim przeciw pobratymcom pomagali, w lekkomyślności i łatwowierności swej posuwając się często nieomal do granic samobójstwa.

Śród *białych* byliśmy najbliżej położeniem swem na szczeblu praw i przywilejów — poziomu *kolorowych.*

Ziemie nasze przez lat tysiąc stanowiły teren kolonizacyjny dla Germanów, tak jak Afryka, Azja, Ameryka czy Australja stanowiły i stanowią teren kolonizacyjny dla Brytyjczyków, Holendrów czy Francuzów.

Byliśmy Europy mieszkańcami drugiego stopnia. Nie polepsza okresu dziejów słowiańskich okres trzechsetletniej wielkości Rzeczypospolitej Polskiej. Jest on doskonałym przykładem, czem Słowiańszczyzna mogła była być i jak wielka była jej degradacja. Lecz okres tysiącletniej walki z kolonizatorami z Zachodu szczęśliwie na korzyść naszą rozstrzygnęła Wojna Światowa. Słowiańszczyzna z nielicznemi wyjątkami wolna, odbudowuje swe organizmy państwowe, a prawo Ligi Narodów i duch Genewy zabezpieczające pokój Europie pozwalają na okrzepnięcie tych państw, by w ramach ich ludy słowiańskie mogły się wznieść na stanowisko obywateli Europy równych niedawnym swym ciemięzcom. Z prawa tego ludy słowiańskie skorzystały skwapliwie.

Stały się rzecznikami wolności, wiernymi klientami Ligi Narodów, a na polu kultury duchowej zaczęły zwycięsko konkurować z rozkładającą się coraz wyraźniej zachodnią Europą. Niedawni niewolnicy stawali się zdrowszymi od wczorajszych panów, i poczęli dawać coraz częstsze dowody zdrowego rozsądku oraz idealizmu, który jest jedyną obroną przed falą barbarzyństwa i materjalistycznej głupoty, w której od stulecia coraz dokładniej tonie rasa biała...

Lecz oto rozległ się przed kilku dniami donośny trzask drzwi z brutalnym zdenerwowaniem zatrzaskiwanych w Genewie. Duch Genewy skurczył się! Co to? — Hitlerowskie Niemcy opuściły Ligę Narodów! Dlaczego?

Niedawni a tysiącletni koloniści ziem słowiańskich w swym nieuporządkowanym ekonomicznie kraju, chorym na fantastyczny przerost rozbudowy przemysłowej szukają na gwałt lekarstwa, któreby im zdrowie przywróciło. Lekarstwem dla nich zdaje się być powietrze równin słowiańskich, świeża nasza krew.

Teutoński zaborca krótki miał sen. Zbudził się i znów szybko wraca mu apetyt.

Opuszczenie Ligi Narodów przez Niemcy, to dowód, że apetyt ten pragnie gwałtownego zaspokojenia. Znaczy to, że świat niemiecki gotuje się do ponownego najazdu na Słowiańszczyznę, do ponownego zamienienia nas w niewolników, przecięcia krótkiego okresu naszego rozwoju państwowego.

Przed Słowianami staje znów odwieczne zagadnienie obrony swej wolności!

Bo wyjście Niemiec z genewskiego areopagu narodów, to nie czyn nieprzemyślany zbyt prymitywnego gracza politycznego. Nie!

Nie napróżno od szeregu miesięcy pracuje bez wytchnienia niemiecki przemysł wojenny! Nie bez kozery zarządzono niespodziewanie dla wszystkich Michlów ponowne wybory do Reichstagu na 12-go listopada, a po nich ostateczne administracyjne ujednostajnienie organizmu państwowego Niemiec. Hitler rozpoczął nową grę. W opancerzonej dłoni trzymając atut jedności narodowej, niezadługo rozpocznie targi z Francją. Nie w ramach nieistniejącego już paktu czterech. Bezpośrednie.

Za miraż kilkuletniego pokoju i nienapastowania Francji, zapragnie wytargować szereg ustępstw.

Najważniejszem, bo warunkującem jego dalsze powodzenie w samych Niemczech, będzie wytargowanie desinteressment Francji w sprawach wchodu europejskiego. To znaczy — prawo do ponownego ujarzmienia Słowian. Taki jest sens ostatnich posunięć niemieckich, wynikających logicznie z całej tysiącletniej zaborczej germańskiej polityki.

Przed oczami naszemi wyraźnie zarysowuje się znów niebezpieczeństwo teutońskie.

Głośno, jaknajgłośniej, by cała Europa od Berlina do Londynu słyszała zawołać musimy:

— Koniec sporom i waśniom słowiańskim!

W obliczu niebezpieczeństwa niemieckiego, popieranego przez bezradną ślepotę polityków europejskich *zjednoczymy się w obronie naszej wolności i naszych praw do pracy nad kulturą ogólno - ludzką!*

Im głośniej będziemy wołać: w Warszawie, Pradze, Belgradzie — że jesteśmy złączeni jedną wolą obrony naszych praw, że bez nas nic nikt, nigdzie postanowić nie będzie mógł, tem pewniejsi będziemy mogli być naszych dalekich sojuszników i poskromienia apetytów niemieckich, (i nietylko niemieckich) przynajmniej w najbliższym lat okresie.

O tę wolę *wspólną*, o tę wolę obrony świadomą, łączną, pozbawioną dyplomatycznych niejasności i niedomówień wołać muszą Słowianie — żądając jej od swych polityków, dyplomatów, mężów stanu.

Nie mamy czasu do stracenia. Przecież nie chcemy wojny, która zniszczy kulturę i zamieni Europę w pustynię.

Chcemy żyć, rozwijać się w pokoju!

Politycy, to ludzie nierychliwi, zbyt często spóźniają się. Nam się spóźniać nie wolno! Spóźnienie dla nas to — śmierć!

Więc z potrzeby najistotniejszej obrony życia swego i tego, co winniśmy dać ludzkości krzyczmy o konieczności zjednoczenia Słowiańszczyzny!

Niechaj wie Paryż, że jego sprzymierzeńcy są sprzymierzeńcami między sobą.

Niech wie Berlin, że w wojnie, którą przeciw nam gotuje, znajdzie nas ramię przy ramieniu. Niechaj wie świat, że epoka słowiańskiego niewolnictwa skończona, że doli Serbji Łużyckiej żaden naród słowiański dzielić już nie będzie w XX stuleciu.

Głośniej od pogróżek Hitlera, od szczęku produkowanej u Kruppa broni niechaj nad Europą zadzwoni głos zjednoczonej Słowiańszczyzny!

LUDOMIR RUBACH.

Z KURZEM KRWI BRATNIEJ...

Na Uniwersytecie Warszawskim padły strzały. Grubemi czcionkami podały dzienniki wiadomość o tragicznym bilansie masakry. Ze zdumieniem i trwogą pochylały się głowy nad stronicami, a w oczach widniało pytanie: dlaczego? Jaki to zły duch opętał szałem nienawiści te młode umysły, czyja to wola kazała im podnieść rękę na kolegów współbraci? Czyj to podszept szatański kazał im widzieć w inaczej myślącym koledze nie brata błądzącego, lecz wroga, którego należy zniszczyć i unicestwić? Cóż to za przepaść tak strasznie głęboka dzieli oba walczące obozy, że tylko strumień krwi czerwonej wypełnić ją może?

Nie zadawajmy retorycznych pytań, na które napróżno oczekiwać odpowiedzi. Nie łudźmy się, że zbrodniarz istotny przyzna się do winy i w piersi się publicznie przed świa-

tem uderzy. I bez tego jest wiadomem, na ołtarzu jakich to bogów została złożona krwawa hekatomba.

Cieszcie się, panowie protektorzy i opiekuni! Wasz to zatruty, posiew nienawiści zbrodnicze i straszne wydał owoce! Wasze to stare spory i porachunki regulowała ta młodzież nożami i browningami! W waszym to imieniu krwawy order zasługi do piersi waszym giermkom przypięto.

Cieszcie się, panowie opiekuni! W imię waszej „ideologji" dogorywują w szpitalu młode istnienia! Dlaczego więc milczycie trwożliwie, dlaczego boicie się przyznać do dumy, która was rozpiera, żeście potrafili tak dokładnie ulepić tę młodzież na obraz i podobieństwo swoje?

A może milczycie dlatego, że odezwało się w was wreszcie — sumienie?... Może boicie się, że łzy matek, sióstr i braci kamieniem przekleństwa w wasze głowy uderzą?...

Opamiętajcie się, panowie protektorzy! Zawróćcie póki czas ze strasznej drogi, krwią niewinną zbroczonej! Wyjmijcie waszej młodzieży z rąk mordercze narzędzia. Odgońcie precz proroków gwałtu i nienawiści. Dopuśćcie, by w waszem środowisku rozległo się dziwne i niesłychane nigdy słowo miłości i przebaczenia. Bo pamiętajcie, że bliski jest dzień, gdy Naród zażąda obrachunku za swą zdeprawowaną i obałamuconą młodzież. Pamiętajcie, że nie do jej, lecz do waszego czoła przylgnie wówczas haniebne piętno Kaina!... *W. L.*

UWAGI I REFLEKSJE

CZY PIERWSZE JASKÓŁKI NAWRÓCENIA?

W feljetonie „Szarża" Gazeta Polska z dn. 7 października dokonała brawurowego rajdu w dziedzinę, skrzętnie omijaną dotąd przez publicystów rządowych, a nawiedzaną conajwyżej w nieprzyjaznych zamiarach. Autor feljetonu, coprawda bezimienny, zobrazował nad podziw trafnie istotę Narodu, rzucając ciekawe myśli na kanwę reminiscencyj z defilady ułańskich pułków w Krakowie.

„Szarża" rozpoczyna się od zasadniczego pytania: „Co to jest Naród", poczem autor odpowiada: „o bycie narodowym rostrzyga... wspólnota woli ludzkiej.." „Naród jest jako świadomość — bez niej go niema. Ale świadomość nie może istnieć, jeżeli nie znajduje kształtu w czynie". Lecz zarazem „nie może być osiągnięcia tam, gdzie niema celu. A cel tworzy wola. W dwóch środowiskach przejawia się wola ludzka — wobec żywiołu i wobec innego człowieka. Poprzez wspólne działanie w tych dwóch środowiskach staje się Naród: wtedy, gdy zespołem przyrodzie posłuszeństwo narzuca i wtedy, gdy zespołem broni niezależności własnych celów, gdy cudzej, z zewnątrz idącej woli odmawia posłuchu".

Pod myślami temi można się tylko w całości podpisać. Szczególnie pocieszającym jest fakt, że ukazują się one na łamach pisma, gromiącego notorycznie nacjonalizm. Pozwala to mieć nadzieję, że autor, rozwijając konsekwentnie swe tezy, zechce je uzupełnić dwiema następującemi:

Primo: Naród polski musi złamać każdą obcą i szkodliwą wolę, idącą nietylko zzewnątrz granic państwa, lecz również i od wewnątrz, o ile źródło jej leży poza naszym Narodem;

Secundo: Świadomość prawd, wypowiedzianych w „Szarży" winna stać się nietylko wyrazem prywatnych poglądów nielicznych publicystów, ale kanonem powszechnej wiary skonsolidowanego Narodu.

* * *

P. SENATOR BOGUSZEWSKI A § 109 K. K.

Znany ze swego niedawnego przejścia na komunistyczną wiarę p. sen. Boguszewski zapragnął sięgnąć po laury publicysty sowieckiego. W nr. 4, wychodzącego w Moskwie „Bezbożnika wojującego" zamieścił on artykuł p. t. „Katowski regulamin więzienny w Polsce". Zawarte w tym artykule wiadomości mają na celu przekonanie czytelnika, że pobyt więźnia na osławionej Wyspie Djabelskiej jest w porównaniu do stosunków polskich niewinną kuracją wypoczynkową.

Artykuł powyższy nasuwa pewne refleksje. Istnieje w Polsce zbiór przepisów prawnych, objętych wspólną nazwą Kodeksu Karnego. W rubryce, oznaczonej § 109 czytamy co następuje: „Kto będąc obywatelem polskim, rozpowszechnia publicznie zagranicą wiadomości nieprawdziwe w celu szkodzenia interesom Państwa Polskiego, podlega karze więzienia do lat 10".

Czy artykuł ten nie ma zastosowania również i do osoby p. sen. Boguszewskiego?

„KURJER WARSZAWSKI" I MASONERJA.

Jeden z ostatnich numerów „Akademika Polskiego" — organu Młodzieży Wszechpolskiej — przynosi sensacyjny artykuł p. Józefa Szeptyckiego, atakujący namiętnie jeden z najstarszych i najpoważniejszych organów Stronnictwa Narodowego — „Kurjer Warszawski". Powodem niesnasek rodzinnych był artykuł p. B. K., w którym pisze on, m. in, co następuje:

„Pogaństwo ogarnia dziś całą Europę cywilizowaną, ideały pogańskie biorą górę i żadne już doktryny moralne nie wiążą człowieka, jeśli tylko potrafi ogłupić swych bliźnich przysięgą, że działa na rzecz „Państwa", „Narodu", „Rasy" i wogóle interesu zbiorowego".

Że doktryna rasowego nacjonalizmu i etyka katolicka stoją ze sobą w zasadniczej sprzeczności, o tem powinien chyba wiedzieć „Akademik Polski". Jeśli znakomity publicysta katolicki, p. Bolesław Koskowski prawdę tę raz jeszcze uwypuklił, to należy mu się za to tylko wdzięczność i uznanie. Moment szczególnej pikanterji polega atoli na tem, że polemizując z p. B. K. „Akademik Polski" tytułuje go „bratem" i zarzuca mu całkiem otwarcie przynależność do... masonerji!

Można sobie wyobrazić przerażenie czytelników „Kurjera Warszawskiego" na widok tego masońskiego djabła, co tak sprytnie potrafił się przebrać nietylko w ornat, ale i w sutannę, albę i biret księżowski!...

* * *

JAK SIĘ ZYSKUJE PRZYJACIÓŁ.

Tygodnik akademicki „Dekada" zamieszcza w jednym z ostatnich numerów reportaż z kolonji akademickiej nad Czarnem morzem pod wiele mówiącym tytułem: „Morze Czarne + słońce × 4 tygodnie = 195 zł.". Kolonję tę zorganizowała redakcja „Ilustr. Dekady Akademickiej". Po opisie całego szeregu rajskich rozkoszy (wino, kobiety, Stambuł etc.), artykuł kończy się następującym zwrotem:

„Po miesiącu ze smutkiem żegnamy rozsłonecznioną Eforję i poprzez rozbawiony Bukareszt, miasto najmilszych kobiet, wracamy do kraju. Pozostają wspomnienia oraz głęboka wdzięczność dla „Dekady", która potrafiła zorganizować taką imprezę.

Dekada ma 100 wiernych przyjaciół".

Wyrażamy przypuszczenie, że końcowy wniosek autora nie pokrywa się całkowicie z poglądami redakcji. Nie ulega bowiem wątpliwości, że szlachetni młodzieńcy nie dlatego zostali przyjaciółmi pisma, że się ich za pół darmo woziło po Bałkanach, karmiło, poiło i płókało w morzu, lecz dlatego, że rozczytując się w znakomitych artykułach „Dekady" zostali porwani głębią zawartych tam myśli oraz klasycznym wykładem ideologji państwowej.

* * *

ORĘDZIE METROPOLITY DJONIZEGO.

Słynne zajścia w Ławrze Poczajowskiej na początku ubiegłego miesiąca znalazły swój epilog w orędziu metr. Djonizego, wydanem w językach polskim, rosyjskim, ukraińskim i białoruskim. W orędziu tem metropolita daje wyraz ubolewaniu, że demonstracja o charakterze wybitnie politycznym miała miejsce podczas uroczystości cerkiewnej.

Trudno się oprzeć wrażeniu, że wypadki powyższe ilustrują w sposób dobitny zasadniczą różnicę pomiędzy Prawosławiem a Katolicyzmem. Można śmiało powiedzieć, że byłyby one nie do pomyślenia w kościele katolickim. Najbardziej ostre antagonizmy polityczne nie mogłyby pchnąć katolików do tego, ażeby demonstrację przeciwko biskupowi zorganizować, dajmy na to, podczas uroczystej procesji Bożego Ciała.

Twierdzenia kierowników akcji unijnej o niskim poziomie wyrobienia religijnego wśród ludności prawosławnej okazują się, niestety, słuszne.

* * *

RAPPAPORT I POPESCU.

„Gazeta Polska" zamieszcza ciekawą korespondencję p. Kaz. Prószyńskiego z reprezentacyjnego rajdu polskiej eskadry lotniczej do Bukaresztu. Jak podaje korespondent, od samego początku wytworzył się tam „odpowiedzialny" bałaganik, a król Karol omal się nie pobił z szefem sztabu o wyznaczenie terminu i miejsca przyjęcia. Ale najzabawniejszy casus przytrafił się delegatowi M. S. Wojsk., p. kpt. Rostawieckiemu, któremu po przybyciu do Bukaresztu „polecono skomunikować się z gen. Popescu, który kieruje przyjęciem. Ale w książce telefonicznej jest kilka bitych stron Popescu. Który z nich?"

Podobną przygodę miał w swoim czasie popularny Lopek Krukowski, któremu kazano odszukać w Warszawie niejakiego... Rappaporta. Ale w warszawskiej książce telefonicznej jest również kilka bitych stron Rappaportów. „Jest skład wina Rappaport, dyrektor kina Rappaport"... Który więc z nich ostatecznie?...

MASONERJA PRAKTYCZNA — ROTARY CLUBY

Kolebką t. zw. „ruchu rotarjańskiego" są Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Matką ruchu jest tak rozpowszechnione w tym kraju Wolnomularstwo; ojcem — interes materjalny elity zawodowej społeczeństwa. Praktyczni yankesi zorjentowali się b. szybko, jaką wartość posiada w interesach czynnik tak niematerjalny, jak przyjaźń ludzka; jak znakomicie ułatwia zrobienie bussinesu na jakimś terenie szybka, dokładna i bezinteresowna informacja. Z właściwym sobie zmysłem praktycznym postarali się ująć oba te momenty w ramy organizacyjne. Protektorat nad budzącym się ruchem objęła Masonerja. Tak powstały Rotary Cluby.

Według oficjalnego statutu „Rotary Club jest swobodnym związkiem ludzi różnych gałęzi wytwórczości, handlu i zawodów wolnych, którzy, zbierając się co tydzień, w atmosferze koleżeńskiej przyjaźni, omawiają sprawy bieżące swego miasta, kraju i narodu". Statut zaznacza zarazem, że „przyjmowanie członków odbywa się według ustalonego planu, który przewiduje po jednym tylko przedstawicielu każdego zawodu".

Można sobie wyobrazić konsekwencje praktyczne tak pojętego zrzeszenia. Racjonalnie zorganizowany Rotary Club ogniskuje w swem ręku całokształt gospodarczych i zawodowych interesów danego okręgu czy miasta. Jest dokładnie zorjentowany w tajnikach wszystkich dziedzin życia gospodarczego, gdyż jego członkowie uważają swoje tajemnice za wspólne. Obecność tylko jednego przedstawiciela danej branży wyklucza jakąkolwiek dwutorowość, gdyż do klubu nietylko są zapraszane najbardziej wpływowe jednostki, lecz sam fakt posiadania tak potężnych stosunków daje im kolosalną przewagę nad konkurentami i możność stania się niekoronowanymi królami danej dziedziny.

Korzyści tak pomyślanej struktury zaznaczają się szczególnie wyraźnie, gdy członek R. C. jest zmuszony do podróży w sprawach zawodowych. Zgłasza się on wówczas do miejscowego Rotary Clubu, otrzymując najbardziej miarodajne informacje co do właściwości danego terenu. Żmudna i kłopotliwa konieczność badania gruntu i nawiązywania stosunków całkowicie odpada, gdyż bierze to na siebie, na zasadach wzajemności, bratnia organizacja.

Oczywiście, prozaiczno-praktyczne cele Rotary Clubów zostały osłonięte całym szeregiem wzniosłych i szlachetnych zasad. Rotary Club posiada dwa naczelne hasła: „Uczynność innym ponad korzyść własną" oraz „Ten najwięcej korzysta, kto najlepiej służy". Członkowie R. C. są obowiązani ponadto do przestrzegania 6 zasad R. C., gdzie jest mowa o służbie dla społeczeństwa, o wysokiej etyce zawodowej, o życzliwej uczynności etc. Ściśle masońskie zasady penetracji i międzynarodowego pacyfizmu znalazły wyraz w punktach 4 i 6, głoszących konieczność „nawiązywania stosunków przyjaznych jako sposobności oddawania usług innym" oraz „wzajemne porozumienie, dobrą wolę i pokój wśród narodów przez wszechświatowe koleżeństwo ludzi pracy zawodowej".

Centralą wszystkich R. C. na kuli ziemskiej jest Rotary International w Chicago; jako symbolu używa on zębatego koła z nazwą organizacji. R. I. koordynuje obecnie działalność przeszło 3.500 R. Clubów we wszystkich prawie krajach kuli ziemskiej; ogólna liczba zrzeszonych członków wynosi blisko 150.000. Jest to więc niewątpliwie potęga.

W Polsce ruch rotarjański jest jeszcze b. słaby i anemiczny. Istnieje właściwie od dwuch lat tylko jeden Klub w Warszawie; kluby w Łodzi i w Krakowie są dopiero w stadjum organizacji. Słabość ruchu w Polsce sprawia, że nie posiada on dotąd swego własnego okręgu autonomicznego („district"), a jest podporządkowany sekretarjatowi europejskiemu Rotary International w Zürichu. Hierarchiczna struktura organizacji sprawia zarazem, że komunikowanie się Warsz. klubu z Zürichem odbywa się za pośrednictwem Komisarza Honorowego na Europę środkową z siedzibą w Wiedniu.

Powolność rozwoju ruchu tłumaczy się pozatem tem, że przyjęcie nowego klubu do Rotary International jest obstawione całym szeregiem surowych rygorów i dopiero po upływie dłuższego okresu próby następuje doręczenie aktu przyjęcia, czyli t. zw. „Charter". Ceremonja ta odbywa się w sposób uroczysty, z zachowaniem odpowiedniego ceremonjału i przy zapalonych świecach.

Społeczeństwo polskie interesuje przedewszystkiem skład osobowy polskiego Rotary Clubu. Przejrzenie listy członków warszawskiego klubu nasuwa wniosek o jego b. starannem skompletowaniu. Znajdujemy tam nazwisko słynnego rzeźbiarza — twórcy pięknych pomników, dyrektorów banków i instytucyj finansowych, profesora architektury, paru senatorów, jednego z b. ministrów spraw zagranicznych, znanego księgarza, właściciela wielkiego domu konfekcyjnego, pisarza dramatycznego, przedstawiciela palestry, notarjatu etc. W rubryce zawodów spotykamy takie działy, jak ubezpieczenia, banki prywatne, konstrukcje żelazne, medycyna internistyczna, przemysł asfaltowy, geografja gospodarcza, szkolnictwo średnie, skarbowość, technologja metali etc. Ogółem klub warszawski liczy 49 członków.

Zachodzi teraz pytanie, jak do ruchu rotarjańskiego ma się ustosunkować społeczeństwo polskie? Objektywizm nakazuje przyznać, że w chwili obecnej niema podstaw do stosunku bezwzględnie negatywnego. Nie można mieć za złe ludziom pracy zawodowej, że starają się ułatwić sobie życie jak mogą. Niema żadnych danych do twierdzenia, że nie wyznają oni naprawdę pięknych i szlachetnych zasad, głoszonych przez organizację. Obecność kilku zasłużonych działaczów i patrjotów polskich nie pozwala przypuszczać, aby klub rozwijał działalność szkodliwą dla Państwa.

Ale — jedno zastrzeżenie. Rotary Club jest niewątpliwie międzynarodówką ludzi interesu. Czy owe głoszone oficjalnie „wszechświatowe koleżeństwo ludzi pracy zawodowej" nie przyczyni się w praktyce do tego, że wytworzy się typ kosmopolitycznego bussinesmana, dla którego więź państwowa i narodowa stanie się niepotrzebnym i uciążliwym przeżytkiem?

DZIEWCZĘTA NA BRUKU

Co roku wychodzą ze szkoły setki, może tysiące dziewcząt „dojrzałych do studjów wyższych", albo do pracy zawodowej. Te z gimnazjów całą falą płyną na Uniwersytety, Politechniki czy Szkoły Handlowe, zależnie od stopnia zamożności. Najbiedniejsze na Uniwersytet, i to na polonistykę lub historję, bo to najłatwiejsze i daje tak dużo czasu na szukanie korek, lekcyj, korepetycyj i kondycyj, jak się to różnie nazywa w języku nowoczesnych żaków.

Te w maseczkach feminizmu dążą na Politechnikę, aby najczęściej już po roku rozstać się z marzeniem o sławie inżyniera czy architekta. Na W. S. H. wstępują te, które mają dużo pieniędzy... Reszta pozostaje w domu, marząc o posadzie maszynistki w biurze, albo najczęściej — o bogatym mężu.

Wszystkie one prędko nikną w tłumie i tylko rzadko do publicznej wiadomości przedostaje się wieść o jakiejś tragicznej śmierci, o jakiemś poświęceniu czy ofierze, a czasem nawet o jakiejś rzetelnej, twórczej pracy.

Jakże nierównie gorzej przedstawia się sprawa dziewcząt, które ukończyły średnie lub zwykłe szkoły zawodowe czy rękodzielnicze! Gdy przed kilku laty powstał prąd, przeciwstawiający szkolnictwu średniemu — szkoły zawodowe — obiecywano nowowstępującym złote góry: natychmiast po ukończeniu pracę, mir i znaczenie w społeczeństwie. Wstępowały tam wierząc, że spełniają nietylko swe zamierzenia, lecz i wysoki obywatelski obowiązek. Doświadczenie pierwszych absolwentek rozwiały jednak odrazu złu-

dzenie. *Nie było dla nich warsztatu pracy.* Twarde i nieubłagane życie wprowadziło do kalkulacji swą bezlitosną korektywę.

Szkoły zawodowe dla dziewcząt mają najczęściej cztery działy: krawiectwo, bieliźniarstwo z hafciarstwem, tkactwo z kilimkarstwem i trykotarstwo. Te dwa ostatnie działy się pomysłem całkowicie chybionym. Przy zalaniu rynków zbytu wyrobami fabrycznemi, niema mowy o tem, aby można było wytrzymać konkurencję z maszyną. Zresztą, skąd biedna dziewczyna weźmie pieniędzy na kupno warsztatu tkackiego lub trykotarskiego?

Bieliźniarki, krawcowe i hafciarki mają znów groźne współzawodnictwo w tych, które uczyły się w prywatnych pracowniach. Znamy wszyscy te dziewczęta od krawcowej. W pierwszym roku bawią dzieci i odnoszą robotę do klijentki; w drugim — fastrygują i przyszywają guziki, w trzecim — wolno im patrzeć jak szefowa kroi i przymierza. A potem już szyją na własną rękę. Te właśnie przechodzą twardą szkołę życia i odrazu wciągają się w zawód. Młode absolwentki krawiectwa czy bieliźniarstwa nie znajdują już miejsc wolnych, a są za biedne, aby założyć własną pracownię. Szczęśliwa, która posiada rodzinę... Wraca do niej i dzieli wszystkie jej losy — dobre i złe.

Lecz jakże dużo jest tych, które nawet takiego szczęścia nie mają. Dziewczęta bez rodziców i rodziny. Wychowywały się w rożnych zakładach dobroczynnych, w internatach i w bursach pod opieką Państwa lub samorządu... Aż do ukończenia szkoły. Potem, jako że otrzymały „fach w rękę" — muszą odejść. Są dorosłe, muszą same dla siebie szukać środków do życia. Jeszcze w szkole od swych starszych koleżanek wiedziały, że miejsc wolnych niema. Z młodzieńczym optymizmem wierzyły przecie, że właśnie dla nich jeszcze się praca znajdzie. Tymczasem warsztatów pracy brak!

Wyrzucone z pod opiekuńczych skrzydeł społeczeństwa, pozostawione same sobie — szukają pracy. Chodzą od drzwi do drzwi, od biura do biura. Za mało eleganckie w swych zniszczonych płaszczykach i szkolnych beretach, aby czemkolwiek zaimponować tym, u których szukają pracy. Są przytem w opinji pracodawców zbyt mądre po ukończeniu szkoły, aby je można było używać „do wszystkiego". Niema więc dla nich miejsc wolnych.

Jadają przeto obiad raz na tydzień, śniadanie co drugi dzień, a kolację codziennie — gorącą wodę... i liczą, liczą na pracę. Nie pracowały jeszcze, więc nie obejmuje ich jeszcze ustawa o bezrobociu. Próba trwa zbyt długo. Przed dziewczyną otwierają się dwie możliwe jedynie drogi: albo rozstać się z życiem, albo wpisać się na czarną listę. To nie fantazja literacka. To niestety — rzeczywistość!...

A społeczeństwo? Czyż nie powinno ono miast reklamy szkół zawodowych zorganizować pracownie dla absolwentek tych szkół? Może uczynić to winna sama szkoła? A może związki zawodowe?...

To jedynie pewne, że te młode siły zawodowe muszą znaleźć warsztat pracy, bo jeśli go nie znajdą, zaczną „pracować" inaczej. Wyrzucimy je wtedy z oburzeniem poza nawias społeczeństwa... A wina po czyjej stronie?...

URSZULA LESZCZYŃSKA

ZDOBYCZE NAUKI SOWIECKIEJ.

W końcu września r. b. odbyła się w Leningradzie wszechzwiązkowa konferencja uczonych sowieckich dla badań nad jądrem atomu. W konferencji wziął udział cały szereg wybitnych uczonych angielskich, duńskich, francuskich i czeskich. Goście zagraniczni z entuzjazmem wyrażali się o postępach nauki sowieckiej, a w szczególności o wynikach prac prof. Foksa (Leningrad) i prof. Tamma (Moskwa).

W czasie trwania prac konferencji do Leningradu przybył znakomity amerykański uczony-genetyk, prof. Jakób Meller, który zamierza przeprowadzić w Sowietach szereg studjów specjalnych.

Znany uczony włoski, prof. Mario Munzio, dyrektor Instytutu Radjologicznego w Turynie, który w sierpniu r. b. zwiedzał analogiczne zakłady sowieckie, nadesłał na ręce dyrektora leningradzkiego Instytutu Radjologicznego, prof. Niemenowa list, w którym podkreśla olbrzymie sukcesy rentgenologji sowieckiej w dziedzinie leczenia raka. W dowód uznania dla wysokiego poziomu prac naukowych Instytutu, prof. Munzio nadesłał w darze szereg swoich drukowanych dzieł naukowych.

ZE ŚWIATA

ŚWIĘTO REPUBLIKI CZECHOSŁOWACKIEJ.

W roku bieżącym święto republiki Czechosłowackiej powinno dla wielu osób, parających się u nas zagadnieniami z zakresu polityki zagranicznej, być dniem poważnych refleksji nad rozwojem stosunków polsko-czechosłowackich. Stosunki te raczej z winy naszej nie zamieniły się na tak konieczne dla obu zachodnio-słowiańskich narodów współżycie ściślejsze w ramach specjalnych umów i traktatów. Napisaliśmy, że „raczej z winy naszej", ponieważ społeczeństwo czechosłowackie w latach ostatnich daje nieustanne dowody wzrastającego, niejednokrotnie spontanicznie ujawniającego się, polonofilizmu. Obok ludności cywilnej, armja czechosłowacka stara się przy każdej okazji dać wyraz swych uczuć polonofilskich, co specjalnie powinno być podkreślone i zauważone. Tak było w roku ubiegłym podczas tragicznej śmierci Żwirki i Wigury, kiedy żałobą okryły się obie armje słowiańskie i oba słowiańskie narody, tak było i w roku bieżącym, kiedy w początkach b. m. w mieście północno-czeskiem w Hradce Kralowem i w Pradze, podejmowani byli manifestacyjnie przez społeczeństwo i wojsko czeskie weterani powstania styczniowego. Zaproszeni delegaci powstańców z 63 roku na uroczystości, związane z siedemdziesięcioleciem powstania, (którego liczni emigranci zostali gościnnie przyjęci przez czeski naród i w Hradce Kralove resztę dni swych spędzili), witani byli w Pradze przez szefa sztabu armji czechosłowackiej, gen. Syrowego, a zastępca szefa sztabu gen. Voženilek udekorował ich orderem Białego Lwa. Jeżeli dodamy do tego, że w Hradce Kralove, i w Podjebradach kobiety całowały ręce naszych bohaterów, a cała ludność witała ich uroczyście a serdecznie — to szczerość uczuć polonofilskich i ich powszechność w społeczeństwie czeskiem nie ulega wątpliwości. W naszem społeczeństwie rozwój uczuć czechofilskich i zrozumienie potrzeby ściślejszego porozumienia między bratniemi narodami zachodnio-słowiańskiemi szybko postępuje naprzód.

Życzyć więc w dniu święta jednego z tych narodów należy, aby powszechność uczuć łączących już oba narody, przenika do sfer w polityce zagranicznej miarodajnych w tym stopniu, aby przyszłe święto republiki Czechosłowackiej, święcone było u nas nietylko na akademjach czesko-polskich organizacji i nietylko jako święto pokrewnego nam narodu, lecz również jako święto naszego *sprzymierzeńca*.

* * *

WIEŚCI O SERBJI ŁUŻYCKIEJ.

Dochodzące skąpo z Niemiec, jak z kraju zadżumionych, przerazić powinny nietylko każdego Polaka o stan posiadania Słowian na świecie zatroskanego, lecz również każdego człowieka, ludzkie w sercu posiadającego uczucia. Dzienniki i pisma łużyckie zamknięte. Redaktorzy, literaci, nauczyciele, wogóle cała kierownicza warstwa w obozach koncentracyjnych. Z instytucji tego rodzaju co np. Łużycki Bank Ludowy w Budziszynie pracownicy *Łużyczanie* wyrzuceni na bruk. Miejsca ich zajęli *Niemcy* — hitlerowcy. Za mowę rodzinną Łużyczanie są więzieni i katowani. Sokół łużycki rozpędzony, Macież Szkolna zamknięta. Łużyczanie nie mogą do nikogo zwrócić się o pomoc, nikt im wiele pomóc nie może.

Położenie Serbów Łużyckich nieomal beznadziejne.

Niech będzie ono przestrogą i nauką dla innych Słowian, niech uświadomi im konieczność *zjednoczenia* wspólnej woli obrony swych granic, swej wolności i kultury.

Niechaj męka Łużycy nie będzie *daremną*, — niechaj wyrośnie z niej przymierze wszechsłowiańskie i jego pierwszy etap — *przymierze czechosłowacko-polskie*.

* * *

KULTURA MUZYCZNA W SOWIETACH.

Muzyczny świat Moskwy żyje w ostatnich czasach pod znakiem realizacji wielkich planów, powziętych przez centralne instytucje krzewienia kultury muzycznej. Plany te są istotnie imponujące. Ogólna tendencja systemu sowieckiego do prowadzenia gospodarki planowej zaznaczyła się tutaj w ten sposób, że poszczególne instytucje podzieliły pomiędzy siebie rozmaite kategorje zainteresowań. Punkt ciężkości pracy Dużej Sali Konserwatorjum będzie więc polegał na propagowaniu muzyki w dzielnicach robotniczych. Mała Sala Konserwatorjum będzie prawie wyłączną domeną młodego narybku myzycznego. Programy koncertów symfonicznych moskiewskiego radja będą uwzględniały przedewszystkiem Beethovena i Czajkowskiego i współczesną muzykę sowiecką; w charakterze dyrygentów oprócz autochtonów Orłowa i Ginzburga wystąpią zagraniczne sławy: Scherchen i Sebastian (Niemcy), Edward Clark (Anglja) i Maks Reiter (Włochy).

Bardzo ciekawy eksperyment przeprowadza naczelna instytucja koncertowa — Filharmonja Moskiewska. Udzielając dużo miejsca utworom współczesnych kompozytorów sowieckich (Miaskowski, Prokofjew, Szostakowicz, Czebalin, Szaporin i in.), przewiduje ona wykonanie całego szeregu niesłusznie zapomnianych klasycznych utworów. W bieżącym sezonie będzie więc wykonane oratorjum Haydna „Pory roku", legenda dramatyczna Berlioza „Sąd nad Faustem", opera Beethovena „Fidelio", jednoaktówka Bizeta „Djamile" oraz szereg innych.

Wśród zaproszonych do Moskwy zagranicznych dyrygentów znajdujemy również nazwisko Polaka — G. Fitelberga.

TEATR

ŚWIAT ZŁUDZEŃ ANATOLA STERNA

W czasie przyglądania się „Szkole Genjuszów" Anatola Sterna uczucia i wrażenia zmieniają się szybko w bardzo mieszanej kolejności. Z Teatru Letniego wychodzi widz odurzony, zaniepokojony, z małym zamętem w głowie. Pytanie — jakiemi intencjami kierował się autor podczas pisania tej satyry na naszą rzeczywistość dziennikarsko-obyczajową, dręczy go przez całą drogę do domu. Anatol Stern pragnął niewątpliwie stworzyć ostrą satyrę na zakłamanie warszawskiego świata dzienikarsko-literackiego, który zna doskonale, sam będąc dziennikarzem, literatem i autorem scenarjuszów filmowych. Pragnął również rzucić ze sceny protest przeciw deprawowaniu „wiecznie kobiecego" pierwiastka w życiu ludzkiem przez kobietę wyzwoloną i jej giermka a jednocześnie przewodnika — literata—ginekologa. Zamierzenia śmiałe, aktualne, ze wszechmiar godne pochwały. Wiemy, że w sferach literackich i dziennikarskich stolicy nie wszystko jest tak, jak być powinno, że dla zdrowia narodu należałoby raz wreszcie wejrzeć i obnarzyć złe strony zakulisowych garkuchni dziennikarskich i literackich. Rozplenienie się kobiet „wyzwolonych", miłość uważających za piętnasto-minutową gimnastykę we dwoje, zachwaszcza również życie i walka nie w imię obrony obskurantyzmu, ale w imię obrony godności ludzkiej i człowieczej z fabrykantami takiej kobiety jest koniecznością palącą. Niestety dobre i śmiałe intencje autora w transpozycji na scenę, w przekształceniu się w sztukę uległy znacznemu zmanierowaniu, co ich wartość umniejszyło.

I chociaż niepodzielamy niesmacznego niektórych recenzentów oburzenia na dzieło p. Sterna, uznać musimy wraz z nimi, że jest ono niejasne w swej konkluzji, pogmatwane w rysunku i nie odtwarza istotnej rzeczywistości warszawskiego światka dziennikarsko-literackiego. Satyra A. Sterna osłabiona została przez oderwanie się od świata faktów — przerzucenie jej w świat fantastycznych dziejów nieistniejących śród nas postaci, oraz przez niezdecydowanie autora na rodzaj utworu: komedji obyczajowej, farsy czy melodramatu. Zbyt ponosił autora temperament, nieumiarkowanie, pod którem wyczuć można było prawdziwy nerw sceniczny. Dowcip cięty i żywy często jednak przez owo nieumiarkowanie był przyjmowany przez bardziej cienkoskórych widzów z odruchami niesmaku. A szkoda. Gdyby bowiem autor umiał swe pióro i fantazję utrzymać na wodzy, żółć utrzymać w ramach przez naturę wyznaczonych, otrzymalibyśmy niewątpliwie doskonałą satyrę na warszawskich dziennikarzy, damy „z towarzystwa" i poniektórych pisarzy.

Satyra taka mogła się stać pierwszym wentylatorem, którego potrzebują bardzo kulisy kulturalnych sfer Warszawy. Wielu widzów, mających inne zmartwienia od zgadywania kogo reprezentują z naszych „sław" osoby sztuki Sterna, bawi się doskonale dzięki świetnej reżyserji Chaberskiego i grze zespołu, w którym tylko p. Andrzejewska czyniła wyłom. Młoda ta aktorka przez usłużną prasę w roku ubiegłym pasowana na „star", musi jeszcze sporo pracować nad swą dykcją i talentem.

Ll.

FILM

APOLLO — DZIEJE GRZECHU

Wybitni nasi literaci i ich znakomite utwory nie mają szczęścia do przeróbek filmowych. Każda nieomal próbka jakiegoś naszego literackiego arcydzieła jest niesmacznem nieporozumieniem. Nie nadaje się zupełnie na eksport. Może cudzoziemcom obrzydzić najdokładniej polską twórczość literacką. Dzieje się to dlatego, że nie posiadamy reżyserów filmowych dokładnie wykształconych już nie tylko w zakresie swej działalności, ale nie posiadających najczęściej tego minimum ogólnego artystycznego wykształcenia, które winno być cechą przyrodzoną osób twórczych artystycznie. Brak reżyserów, którzyby mogli zrozumieć intencje wielkich pisarzy—sens duchowy i artystyczny ich utworów. Taki pan reżyser sam—dzieło przypadku, rezultat życiowego nieporozumienia i polskiej pobłażliwości, znęcony sławą pisarza i rozgłosem jego utworu, przy pomocy mniej lub więcej umiejącego *czytać* scenarzysty, „przerabia" któreś z arcydzieł, w nadziei osiągnięcia sukcesu li tylko kasowego. A że w Polsce poziom kultury artystycznej zatrważająco niski, a snobizm przedziwnie zespalający się z uczuciem patrjotycznem bardzo wielki, więc wszelkie filmy krajowej produkcji cieszą się kolosalnem powodzeniem.

Sukces „Dziejów grzechu", jest jeszcze jednem dobitnem potwierdzeniem, bezkrytycyzmu naszej publiczności, jej małego oczytania, bowiem to, co z arcydzieła Żeromskiego uczynił pan Szaro, jest krzywdą imienia wielkiego pisarza i krzywdą jego dzieła. Z wielkiego utworu wydobyto tylko to, co może być filmowym kryminałem i niesmaczną anegdotą seksualną a reżyser pieczołowicie postarał się o to aby nasze gwiazdy i gwiazdory swą grą nie wypaczyły jego kryminalno-pornograficznej intencji.

* *

CASINO — 12 KRZESEŁ

Pierwszy film czesko-polski powinien być przez redakcję naszego pisma powitany radośnie, jako objaw zbliżenia czechosłowacko-polskiego na polu tak potężnego środka propagandy, jakim jest film. Tak jednak nie jest. Film bowiem omawiany w zbyt małym stopniu reprezentuje chęć nawiązania ciągłej współpracy filmowej czesko-polskiej, popartej czynnikiem pewnego idealizmu, wynikającego z idei owego zbliżenia. Jest dziełem kupieckiego przypadku, chodziło bowiem o połączeniu dwuch nazwisk Dymszy i Buriana, by kasa była „murowana!" A tak tej murowanej kasy producenci filmu tego byli pewni, że nie zmuszali oni reżyserów, ani dwuch sław aktorskich — plus trzecia — Zula Pogorzelska, ani reszty zespołu, do wydobycia ze siebie wszystkich możliwości.

Film zrobiono niedbale, znać na nim pośpiech, nie wyzyskano ani kapitalnego scenarjusza, ani uzdolnień Dymszy i Buriana, a Zula Pogorzelska statystuje w tym filmie wyraźnie jako „czynnik" przyciągający jej wielbicieli i wielbicielki krajowe. Nie wykorzystano tego filmu, który przecież był również przeznaczony na Czechosłowację w tym samym stopniu co i na Polskę (jak i na inne kraje, w których Burian ugruntował swą sławę) dla propagandy polskiego krajobrazu. Scenarjusz dostarczył dosyć możliwości. Można było pokazać i Gdynię, i brzegi Wisły, i Warszawę. Tempo filmu na tem niby nie straciło, bo właściwie było... nijakie.

Dymsza grał po swojemu, nie starając się wcale o stworzenie typu antykwarjusza. Burian dzielnie sekundował mu — w niewysilaniu się. Zuli grać nie pozwolono — miała wielką chęć — brakło okazji.

Pierwszy film czesko-polski nie udał się. Może następny będzie kiedyś nietylko z kalkulacji kasowej ale i artystycznej wyprowadzony i może będzie lepszy. *(lr.)*

Redakcja i Administracja: Warszawa, Al. Jerozolimska 53 m. 305.

Prenumerata roczna 12 zł., kwartalna 3 zł.

Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. 1 zł. — w tekscie; za tekstem gr. 40.

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czerwona Róża". *Redaktor odpowiedzialny: HANNA PRZEWŁOCKA.*

Druk St. Niemiry Syn i S-ka, Warszawa, Pl. Napoleona 4. Tel. 676-40.

Pod zarządem Józefa Puchalskiego